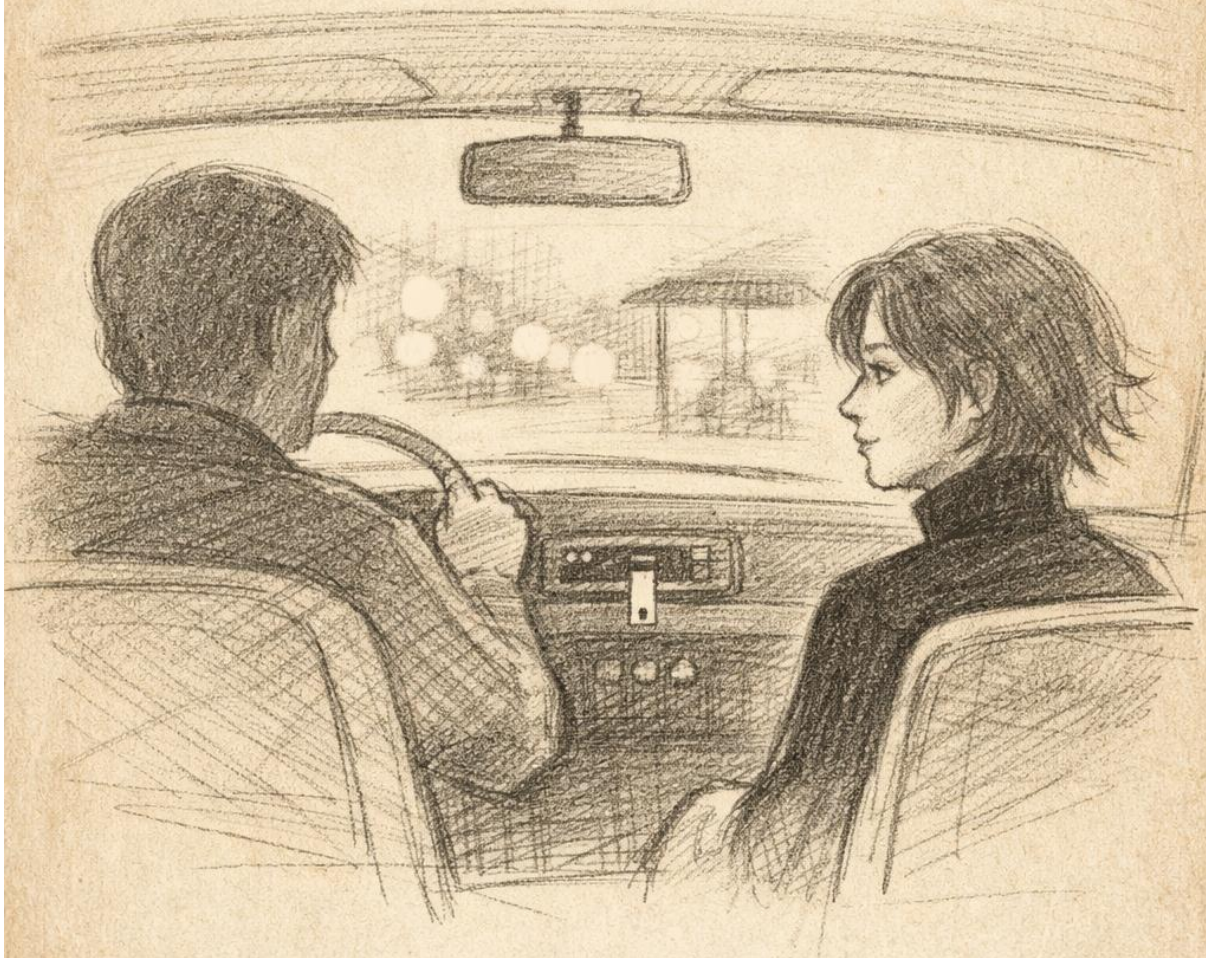


RANDKA Z LAURĄ



Janusz (Krawiec) Wiśniewski

RANDKA Z LAURĄ

albo Lost On You.

- Pamiętasz, że jutro przychodzą do mnie koleżanki? Będziemy miały swój babski wieczór.

– Pójdę do pokoju na górę, coś popiszę. - Chyba nie będę wam przeszkadzał? – odpowiadam przewracając strony *Newsweeka*.

– Nie... – żona próbuje mnie ugłaskać - będziemy czuły twoją obecność, wiesz, parę drinków i baby... Lepiej nie.

– Okej. Coś ze sobą pocznę.

Przyszło jutro, „dziewczyny” miały być na siedemnastą, już od szesnastej widzę, że Grażce przeszkadzam. Zjadam więc szybko, co nieco, ubieram się tak, by być na luzie, ale... Nigdy jednak, nie wychodzę z domu bez odpowiedniego wysmakowania, zawsze próbuję zachować swój styl. Co prawda, dawno nie byłem u fryzjera, ale jestem ogolony, sportowe buty, tęczowe skarpetki - o matko bosko! co na to kler? Wąskie spodnie z szarej flaneli, modnie skrojona sportowa marynarka w żwawą kratę, pod spodem granatowy tiszert – jestem po prostu *Ciacho*. (Tylko tak mi się zdaje? – Nie, jestem tego pewien – *Ciacho jak cholera!*). Biorę kluczyki od auta, dokumenty, forszę i w drogę.

- Tylko, dokąd? – Może pojedę do córki? - Dzwonię. Wyjechała. Może obejrzę mecz u kumpla – cholera, tylko, że ja już nie mogę tyle wypić. - Zatem dokąd? Może do kina, a może zobaczę, na co zaprasza Filharmonia? Jadę autem, puszczam sobie Laurę Pergolizii z jej „Lost On Yu” i podśpiewuję, pogwizduję razem z wokalistką. Polubiłem Laurę od momentu, gdy ktoś puścił z nią filmik na Facebooku; Siedzi w fotelu, w rozciągniętym czarnym golfiku, czarne, pokręcone włosy prawie zasłaniają jej duże wesołe oczy. Chude ręce całe w tatuażach... Ja

piernicę, co za stwór! Ależ ona śpiewa! Zapamiętałem ją - jak żadną inną młodzieżową piosenkarkę. Mam ją teraz w samochodzie na pendraivie i w wyobraźni; siedzi w fotelu niczym młoda czarownica i śpiewa, gwizdże... Jadę, jadę autem, też pogwizdując i nagle...

Na pustym przystanku autobusowym stoi Laura Pergolizzi! Identycznie ładnie-brzydki chudzielec, ubrany na czarno, z niesfornie pokręconymi czarnymi jak smoła włosami całkowicie zakrywającymi oczy. Zwalniam, za moment hamuję, cofam, otwieram drzwi i wychylony pokrzykuję:

– Na tej linii autobusy jeżdżą rzadko. Będzie pani długo czekała. Autobus przed chwilą odjechał... Podwożę - do śródmieścia? – (odbiło mi?!)

– Super! Dziękuję, nie lubię beczynnie tracić czasu.

„Laura” jednym ruchem zdejmuje z ramienia dosyć dużych rozmiarów plecak, rzuca go na tył auta i sadowiąc się koło mnie, radośnie śmieje się nawet oczami, które nie do końca przysłaniają pukle czarnych włosów. „Czarownica” - duże, ładne ma te oczy... Ruszam z pod przystanku – ja *Ciacho!* (Dałabym panu dwadzieścia lat mniej... – tak powiedziała w czasie ostatniej mojej wizyty pani doktor - patrząc na wyniki moich badań, na mój pesel, na mój wygląd). Więc, ja *Ciacho*, uśmiechnięty od ucha do ucha, podrywam? Podrywam teraz tę, może... dwudziesto letnią dziewczynę?

– Nie jestem z Trójmiasta... – zaczyna zwierzać się, umoszczona obok mnie „Laura”. Zagubiłam się w tym waszym Gdańsku. Szukam ulicy Wodnistej i okazuje się, że znalazłam taką tu na Przymorzu, ale niestety - okazało się, że ciotka mieszkała na Wodnistej, ale w Pruszczu Gdańskim.

– O, kurcze – niemal podskakuje na siedzeniu, gdy włączam na powrót LP.

– Lost On You! Laura Pergolizii! Ale super! Jestem jej fanką! – dziewczyna zaczyna pogwizdywać razem z piosenkarką. A kiedy tamta kończy, ta też

przestaje gwizdać i mówi wniebowzięta: Nie jechałam nigdy takiej klasy Merceem.

- Ale wypasiony. Może pan puścić Laurę jeszcze raz?

Puszczam nad wyraz chętnie, bo, od kiedy odkryłem tę... pochrzanioną młodą wokalistkę i ja nie mogę przestać jej słuchać.

– To, dokąd jedziemy? – to ja, dzisiaj pewnie siebie *Ciacho*.

– No, nie wiem... Jak pan taki łaskawy... Niech mnie pan wyrzuci na najbliższym przystanku, w kierunku Pruszcza.

– Akurat mam wyjątkowo dużo czasu, chętnie pomogę. Jedźmy szukać tej Wodnistej w Pruszczu, a potem mieszkania pani ciotki.

„Laura” najpierw dłonią szczesuje z czoła te swoje nieznośnie pokręcone włosy, a potem, z niedowierzaniem patrzy na mnie tymi swoimi dużymi czarnymi, już teraz odkrytymi oczami i... nachyla się mocno, mocno w moją stronę – tak mocno, jakby chciała mnie pocałować – tak mocno, że krzyczę:

Zasłaniasz mi sobą widoczność!

A ona, nie przestaje z bardzo bliska, z ciekawością przyglądać się mojej gębie i nagle, przejeżdża ręką, tą z tatuażami – po moich przyprószonych siwizną włosach i mówi:

– Ile ma pan... czasu?

– Dużo – odpowiadam z ulgą, bo myślałem, że „Laura” zapyta mnie o mój wiek.

– Jedziemy do Pruszcza! – dodaję pewnie, pamiętając o tym, że dzisiaj jestem przecież *Ciacho*!

– Może pan... - Ok, chyba będzie łatwiej nam obojgu jak powiem wprost - Możesz jeszcze raz puścić Laurę?

- Ok.! – Jasne! – Cieszę się z tego na „ty” i puszczam. - Laura Pergolizii gwizdże, śpiewa – a ta moja „Laura” przerywa na moment swoje też pogwizdywanie i pyta:

– To, Jak masz na imię?

Jak zachowuje się w takiej sytuacji prawdziwe *Ciacho*? – zapewne powinienem coś wymyśleć – tylko szybko! – może... jak Tuwim? – Julian! – wykrzykuję, nie wiedzieć, po co próbuję wymyśleć nowe imię dla *Ciacha*.

– Nie, nie masz tak na imię... Jeszcze się nie poznaliśmy – a już chcesz mnie bujnąć.

– Stanisław – przepraszam, nazywam się Stanisław Wielowski – przyznaję się ze skruchą.

– Anka Borkowska – przedstawia się ona i ciągnie dalej - jestem w ogóle z Bydgoszczy, ale od trzech lat mieszkam w Anglii, studiuje w Londynie na filologii angielskiej. Dostałam stypendium i wiem, że kiedyś będę musiała je spłacić. W Londynie, żeby się jakoś utrzymać, dorabiam u dentysty, Araba. Jestem niańką ich dwójki dzieci. Całkiem u nich spoko. Dobrze płacą, a moja religia, wiara, – czyli „niewiara”, ich w ogóle nie obchodzi. Nie wtrącają się do moich duchowych spraw... - gdy mówiła, jej twarz była tak blisko mojej, że aż, czułem jej oddech.

– Żebym była pewna, że nie spowodujesz wypadku, ucałowałam cię.

– Mogę przystanąć – o, tu! na tym autobusowym przystanku – raptownie zmieniam pas – ja żartowniś, dzisiaj przecież odważne jak cholera *Ciacho*.

– Nie! Jedź dalej! – Na przystanku za krótko... Płynmy razem dalej. Klasa ten twój Merc. Mogę, cofnąć, puścić jeszcze raz Laurę?

– Dzisiaj możesz wszystko! – ja, bohaterskie *Ciacho*!

– Wszystko? - To znaczy, co? Na co mi pozwolisz? I czego ty się spodziewasz? - powiedz, no powiedz, w co ty pogrywasz? Liczysz na jakiś... rewanz za podwiezienie? – Tylko prawda! – wykrzykuje Anka „Laura” przyciszając śpiewającą Laurę.

Kurka wodna, jak teraz zachowałby się prawdziwy *Ciacho*? Co by... – niestety, na chybicka, nie mogę nic wymyślić.

– Nie kombinuj! Umiem czytać w ludzkich umysłach – taka umiejętność jest nieodzowna, gdy ktoś chce pisać. Muszę ci powiedzieć, że kiedyś, może już nawet za niedługo... - Może właśnie ty, będziesz fruwał po kartkach mojego opowiadania. Czuję w tej chwili przedsmak czegoś, co kiedyś może stać się kanwą mojego opowiadania, a być może, nawet powieści. Podobasz mi się, jesteś facio! - Mógłbyś na przykład... No, na przykład mógłbyś być w moim opowiadaniu... Prezesikiem - takim, Prezesikiem podrywaczem! – A tak naprawdę, kim jesteś, co robisz?

– Pisziesz?! – Moje zdziwienie całkowicie tłamsi jeszcze raz puszczoną Laurę Pergolizii. – Naprawdę, piszesz? – nie odpowiadam na jej pytania, nie mogąc przestać się dziwić.

– Tak, piszę, coś tam piszę, ale jeszcze niczego nie wydałam... - Gdzie my teraz jedziemy? Dlaczego zwalniasz? – nagle, z niepokojem rozgląda się Anka - bo ja manewrując, szukam miejsca na zaparkowanie.

Nie byłem głodny, ale prawdziwy *Ciacho* na pewno wiedziałby, że teraz wypadałoby zaprosić kobietę... – Zostaw plecak, zjemy coś – mówię pewnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem.

– Ty też czytasz, grzebiesz w czyichś myślach? - Czy może usłyszałeś moje burczenie w bebeczach? Specjalnie pogłośniłam Laurę i gwizdałam razem z nią, żebyś nie usłyszał. Dzisiaj, wypiliśmy tylko kawę w pociągu.

Restauracja jest pełna ludzi. Kelner prowadzi nas do jedyne wolnego, dwuosobowego stolika w kącie sali. Nim raczy przyjąć od nas zamówienie ja:

– Jesteś wegetarianką, weganką? - Czy mogę ci zaproponować... - Tu podają najlepsze w Trójmieście steki - takie, które najpierw trzymają miesiąc w marynacie, dopiero potem... – Smakowe чудо!

– Znowu czytasz w moich myślach. Jestem taka głodna, że zjadłabym wołu.

- I butelkę czerwonego?

– Kieliszek! - Ty naprawdę jesteś taki...? Zdajesz sobie sprawę, że ja nie mam za wiele forsy?

– W zamian, spędzimy ze sobą przyjemnie trochę czasu - a potem, poszukamy tego twojego mieszkania w Pruszczu – mówię ja, dzisiaj wspaniałomyślny.

– Kim ty jesteś? – dziewczyna patrzy na mnie badawczo - podrywasz mnie, na Merca? Na lunch? Na, dobroć serca? - Czegoś się spodziewasz ode mnie w zamian?

- Już ci powiedziałem... - A zresztą, zobaczymy... - uśmiecham się cwaniem, półgębkiem, ale widząc niepewną reakcję dziewczyny szybko dodaję - Nie, niczego się nie spodziewam - po prostu lubię... ludzi. - Ciebie na przykład lubię za podobieństwo do Laury Pergolizii i za to, że i ty ją lubisz, i za to, że uśmiechasz się tak pięknie, wesoło tymi swoimi węgielkami. I za to, że chcesz zostać pisarką, chcesz pisać, ja też... – nie ośmielam się skończyć myśli, tylko patrzę przenikliwie w te ciągle rozbiegane, śmiejące się oczy Anki. W końcu, dodaję po zbyt długiej chwili milczenia nieśmiało; Ja też piszę... Wydałem trzynomową powieść. Mam do wydania trzy następne...

Pomimo, że kelner nas pomija, że czekamy na te nasze steki już przeszło pół godziny, czas nie dłuży nam się nawet przez sekundę. Anka wypija drugi ogromny kielich czerwonego wina i, teraz już trochę wstawiona gada, plecie, rozgaduje się na dobre. Ja sącze jeden, ciągle ten sam, pamiętając o podróży autem i słucham, słucham.

Potem, z przyklejoną do mojego ramienia Anką ciągle gadającą i zaśmiewającą się z byle czego, bo do steku poszły jeszcze dwa następne kielichy - błądzimy po Pruszczu nim w końcu, odnajdujemy ulicę Wodnistą. Nad wejściem do dwupiętrowej, parorodzinnej kamienicy dostrzegamy numer 11. Otwieram portzewiałą, powykrzywianą furtkę, stąpamy po zarośniętych chwastami chodnikowych połamanych płytach, a one prowadzą nas przez przestrzeń ogródka, do dawno nieremontowanej schodowej klatki. Wspólnie z Anką szukamy w wiszącej na ścianie chyba od wieków gablocie „listy lokatorów”, a na niej nazwiska ciotki.

– Po mężu nazywała się Jakubik... Jest! Pod dziewiątką! – wykrzykuje uradowana Anka.

Na drugim piętrze, stoimy przed odrapanymi z brązowej farby drzwiami, na których wisi wizytówka: *Irena Jakubik 9*. Anka grzebie w plecaku, by po chwili, gdzieś tam z samego dna, wyciągnąć spięte ze sobą metalowym kółkiem i dowieszoną czerwoną wstążeczką dwa kluczyki.

– Jezu! Czuję się jakbym włamywała się do cudzego mieszkania! A przecież, teraz to mieszkanie już jest moje, moje! – Oświadcza z triumfem Anka, ciągle nie mogąc trafić kluczykiem do dziurki.

– Nigdy w nim nie byłaś? – dopytuję.

– Nie, jestem tu pierwszy raz, nawet na pogrzeb ciotki nie mogłam przyjechać. W tym czasie, leżałam w Londynie w szpitalu. Z pasją uprawiam kite-surfing,

miałam wypadek, zderzyłam się w powietrzu z kumplem. Na szczęście nisko, nad samą wodą. Byłam mocno poobijana, miałam złamane żebro. Musisz wiedzieć, że przy takim upadku, woda jest twarda jak bruk. Minęło, już się wygoiło, teraz to już nie ważne... – bagatelizuje Anka wypadek, pomagając sobie przy tym machnięciem ręką.

- Kite-surfing to deska z czymś w rodzaju latawca w kształcie rogala? – pytam.

– Tak, deska. Twin-tip – dwustronna. Jesteś doczepiony do – jak ty to mówisz – latawca-rogala, w który dmie wiatr i cię porywa. Raz ślizgasz się po wodzie, raz fruwasz nad wodą. Kocham to!

– Chyba ja bym się nie odważył – mówię, bo wiem, że woda, frwanie - to nie mój żywioł.

– Kwestia treningu, wprawy – dałbyś radę. Pobyłbyś ze mną dłużej, to ja bym cię nauczyła wszystkiego! – mówi i śmieje się, śmieje.

W końcu, otwierają się drzwi i jesteśmy w środku. Ciemny, ciasny korytarzyk, obwieszony jakąś odzieżą, która przeszkadza nam w przejściu. Prawie potykamy się o wystające z dolnej szafki czyjeś buty. W końcu, przeciskamy się do drzwi, wchodzimy do pokoju. Anka pierwsze, co robi - to rozsuwa żółte słoneczniki namalowane na lnianych zasłonach i otwiera na oścież okna. Momentalnie, powietrze z dworu stacza walkę z od dawna pozostawionym tu zaduchem. Pokój urządony jest po babcinemu: Szeroki welurowy brązowy tapczan, mieni się pstrymi kolorami poduszek. Oparta o jedną z nich siedzi duża, prawie jak roczne niemowlę lala, z mocno pomalowanymi na różowo policzkami i zakręconymi rzęsami. Na ścianie nad tapczanem dominuje sporych rozmiarów obraz, na którym za szkłem Matka Boska trzyma na rękach Dzieciątko Jezus, a Święty Józef stolarz, zawzięcie coś tam hebluje. Prostokątny, zaścielony obrusem stół zdobią zwieńczone kikutami jakichś kwiatów, dotykając na dnie kryształowego wazonu

brudnej mazi. Przy stole sześć krzeseł. Pod jedną ze ścian trzydrzwiowa szafa. Pod drugą kredens-starocie. Nad nim wisi ślubny portret. – To ciotka z wujkiem – objaśnia Anka. Na blacie kredensu w drewnianej ramce za szkłem, komunijne zdjęcie dwóch chłopców trzymających w rękach gromnice. – To moi kuzyni, bliźniacy, synowie ciotki... W rogu pokoju, na stoliku, stare pudło telewizora, na nim również nie najnowszej generacji radio. Za telewizorem, dawno już uschnięty fikus natrętnie przypomina o zejściu z tego padółu gospodyni domostwa. Podłogę przykrywa wytarty dywan... - O, a tu - ja pierniczę! - ciocia, moja mama i ja, w Sopocie na molo. Chodziłam wtedy do pierwszej klasy... – Anka palcem pokazuje zdjęcie w ramce, i snuje dalej swą rodzinną opowieść: Ciotka była siostrą mojego ojca, ale tak jak i my z matką nie chciała brata znać – mój ojciec był alkoholikiem. My z matką uciekliśmy od niego, gdy jeszcze byłam malutka. Anka rozglądając się po nieznanym i dla niej sprzętach, językiem ciągle mającym w pamięci wypite w restauracji kielichy wina, opowiada dalej, snuje dalej opowieść o swoich rodzinnych perypetiach. Sama nie wiem, dlaczego ciotka zdecydowała się przepisać na mnie to mieszkanie – przecież, ma swoich dwóch synów. Może, dlatego, że obaj mieszkają w Kanadzie... – zastanawia się, domniema, wchodząc do następnego pomieszczenia. – Mała ta kuchenka... ale, najważniejsze, że jest gaz – odkręca na sekundę i zakręca na powrót kurek. Zagląda z ciekawością do szafek, przygląda się sprzętom, wyciąga jakieś garnki, patelnie, odkłada je na miejsce, zagląda do słoiczków i blaszanych pudełek. – O! ja pierniczę – forsa! Wyciąga z jednego z pudełek ściągnięty gumką zwitek banknotów i zaczyna je przeliczać. – Siedemset sześćdziesiąt złotych! – Ale numer! Nie dość, że mam mieszkanie, to na dodatek jestem jeszcze bogata! Może to ty przynosisz mi takie szczęście! – mówi, zaśmiewając się uradowana i niespodziewanie daje mi całusa prosto w usta. W końcu wychodzimy z niedużej

kuchni, a Anka po chwili, otwiera jeszcze jedne drzwi. – Łazieneczka! Całkiem, całkiem. Ciotka chyba krótko przed śmiercią musiała ją wyremontować. – Od razu skorzystam! Wchodzi do środka, zamyka za sobą drzwi, przekręcając w nich klucz.

A ja, mimo, że się zamknęła, stoję pod drzwiami i podsłuchuję, i słyszę jak ona robi siusiu, jak spuszcza wodę. Co się dzieje ze mną? - Nie wstyd ci stary?

– Podasz mi plecak?! – Krzyczy nagle z łazienki Anka.

Chwytam za paski, podaję przez uchylone drzwi dosyć ciężki (dopiero teraz to zauważam) plecak. Wracam na środek pokoju i, rozglądając się po obcym mi wnętrzu, podchodzę do otwartego okna. Patrę przez chwilę na chowającą się w zmierzchu wieczoru ogrodową zieleń, z której wyłania się ogromniasty, betonowy słup obwieszony elektrycznymi przewodami. Czując chłód, zamykam już okno, podchodzę do tapczanu i, rozgarniając poduszki, padam na jego miękkość, pozwalając fruwać po głowie nieokrzęsianym, swawolnym myślom.

- Co ja tu robię? Dlaczego i po co, tu się znalazłem? Czy będę tu, na tej kanapie, w tym obcym mi mieszkanku, z tą ledwie poznaną młodziutką dziewczyną uprawiał seks? A jeżeli – to czy się sprawdzę? Taką długą miałem przerwę. Gracha coraz rzadziej ma ochotę – a nawet, gdy do seksu dochodzi - to widzę, że się zmusza, że robi to tylko dla mnie. Przecież czuję, że nie jest już tak jak kiedyś mokra, gotowa, tak jak kiedyś chętna do podróży w rozkosz. I, męczymy się oboje, i ona w końcu kończy mi ręką - bo chce, chce żebym był zadowolony - bo przecież, powinniśmy być szczęśliwym, dobrym małżeństwem. Wiem, że żona mnie kocha, i wiem, że i ja kocham ją całym sercem. – Kocham ją za jej dobroć, pracowitość, za jej codzienną radość życia, i za naszą długoletnią przyjaźń, którą okazujemy sobie nawzajem na każdym kroku, w każdej chwili. Tak. Kocham moją żonę. Kocham, ale... ten nasz seks. W jej przekonaniu, seks już powinniśmy sobie

podarować, odpuścić no i... odpuszczamy. To znaczy na pewno odpuszcza Gracha, ona już nawet nie ma potrzeby przytulenia się do mnie. - Ze mną jest inaczej. Bywa, że czekam, aż wieczorem ona pójdzie do sypialni, położy się, zaśnie, a ja wtedy szukam w telewizji kanału porno i, jestem z tymi dwiema lesbijkami wyjącaymi z rozkoszy tak głośno, że aż wyciszam fonię, by czasem tego wycia nie usłyszała Gracha. Tak, seks z żoną to już...

Popieprzyło ci się coś stary? - Co ty wyprawiasz? – Młoda dziewczyna bierze prysznic w łazience – a ty, przecież *Ciacho* leżąc tu na tapczanie, jesteś teraz myślami o żonie...? Dywagujesz o swoich małżeńskich perypetiach z seksem...? Otwierają się drzwi łazienki, po pokoju rozchodzi się miły zapach szamponu, zapach kobiety... Anka jest już przy mnie, blisko... - Och, jak ona teraz inaczej wygląda... Ładnie wykrojone usta, odsłaniają w zagadkowym uśmiechu biel równych zębów... Mały ręcznik, który trzyma w ręku, nie jest w stanie ukryć całego nagiego ciała... Zresztą, ręcznik już spada na podłogę... Leżę na tapczanie wsparty na łokciach, ciągle ubrany tak, jak tu wszedłem i, coraz szerzej otwartymi oczami, przyglądam się stojącej przede mną nagiej dziewczynie. Jeszcze krople wody spływają po jej nagim pachnącym ciele... Włosy tak niedawno pokręcone - teraz zaczesane do tyłu odsłaniają całą krasę jej buzi, jej długiej szyi, muszelek uszu... Niewielkie piersi ze sterczącymi sutkami... Czarny wzgórek i... tatuaże. Tatuaże nie tylko na rękach... Podnoszę się i natychmiast, bez opamiętania chcę wziąć, porwać to młodziutkie ciało w objęcia, ale, Anka popycha mnie z powrotem na tapczan, klęka, zdejmuje mi buty, skarpetki, pomaga mi zdjąć marynarkę, rozpina pasek, ściąga mi spodnie, tiszert, majtki. Próbuję w tym czasie obcałowywać to nagie, jeszcze mokrawe ciało wszędzie, wszędzie tam, gdzie tylko dosięgam ustami, ale Anka wzbrania się i w końcu, mnie nagiego, chwyta za obie ręce i wyszarpując z tapczanu mówi rozkazująco:

- Szoruj pod prysznic! Tylko uważaj, bo leci z kranu ukrop!

Rad, nie rad, zakrywam wstydliwie dłońmi swoje przyrodzenie, które już, już... i zmierzam truchtam do łazienki. Rzeczywiście, muszę uważać, prysznicowy strumień z zimnego, momentalnie przechodzi w gorący. Jakoś udaje mi się uregulować ciepłotę wody, i stojąc w rozproszonych strugach wiem, że woda nie splucze, nie oddali ode mnie moich zamięconych myśli. Mam swoje lata, w domu została Gracha... - a ja tu, z młodziutką, ledwie poznaną dziewczyną... Nie pomoże mi w tej chwili żaden szpan, żadna kreacja na *Ciacho*... Jeszcze mogę uciec, uciec w zaklinanie: Nie! nie! Ja kocham swoją żonę! Nie mogę jej zdradzić. Nie mogę! Przepraszam Anka... – Tak, tak powiem, tak powinienem postąpić. Wychodzę z łazienki w mrok pokoju, który ciut rozświetlają promienie żarówki z za uchylonych drzwi przedpokoju. Idę w kierunku czekającej, leżącej na tapczanie dziewczyny i już, już mam na ustach wymyślone obronne słowa - że; że żona, że... nie, nie moją... - Anka, może wyczuwając mój strach, moje niezdecydowanie bez słowa, przyciąga mnie do siebie na tapczan. Chyba jeszcze chcę coś wykrzyknąć, ale ona zamyka swoimi długimi palcami moje usta. Potem wpija się w nie swoimi i, jej język już tańczy z moim, już nasze ręce... Moje wargi obcałowują jej szyję, piersi, ssą brodawki - szalejemy, szalejemy... Klęczę nad dziewczyną, nad rozwartymi udami kobiety, która mnie pragnie - ja samiec, zdobywca! Moje palce torują drogę językowi. Język jest chciwy, zaborczy, błędzi, penetruje... W końcu, fachowo palcami szukam miejsc, o których ja stary, powinienem wiedzieć aż za wiele... Anka ma przykryte rzęsami oczy, oddycha otwartymi ustami głęboko, głośno i, nagle, wydaje jęk, a jej cipka uwalnia, wyrzuca ze swoich głębin... I, Anka krzyczy żebym nie patrzył! Nie wolno mi być świadkiem tego, co dzieje się z nią, tam na dole... Chwyta chyba bezwiednie, bo aż za mocno, aż zabolęło, oburącz chwyta mnie za włosy i, przyciąga moją głowę, moją twarz do swojej. Padam na

nią, zamykając jej dyszące usta swoimi i, wślizguję się w nią, zagłębiam, w gorącą większą, niż miała tamta woda pod prysznicem i, lecimy, lecimy, fruniemy razem... Kończ, możesz, jestem zabezpieczona... – dysząc, oddychając ciężko szepcze Anka. Tulimy, tulimy się do siebie. Wzmocnionym oddechem falują i jej i moje piersi. Anka palcami szczesuje z mojego spoconego czoła moją siwą grzywę, potem przytula dłoń do mojego gorącego policzka, i gładzi mnie po twarzy z czułością matki. – Już w aucie zauważyłam, widziałam, że masz ładne, niebieskie oczy... – szepcze, uśmiechając się przymilnie.

– Och, moje oczy są już... - „jak stara, wyprana dżinsowa koszula wisząca za długo na słońcu. Już, wyblakły, spłowiwały, czas zrobił swoje...” – mówię, podbudowując się sekwencją z czegoś tam - co kiedyś przeczytałem i zachowuję się podobnie do niej; odgarniam włosy z jej oczu, z czoła, głaszczę jej rozpaloną buzię, delikatnie przesuwam opuszkami palców po zaczerwienionych wargach...

– Wiedziałam, że przeżyjemy coś fajnego... Przewidziałam to, już ruszając z przystanku, gdy się zatrzymałeś - a potem w restauracji już byłam pewna - mówi szeptem Anka, a jej oczy lśnią w mroku pokoju niczym oczy kotki.

Delikatnie ujmuję jej dłonie, obcałowuję ich środek, potem znowu wracam do smaku ust. A gdy... obcałowuję te oczy kotki, nagle wyczuwam słony smak - łyż?

– Płaczesz? – pytam zdziwiony, zaniepokojony. Anka mocno obejmuje mnie ramionami, mocno, mocno wtula się we mnie. Chcę coś powiedzieć, wyznać, ale ona swoimi ustami zamyka moje, i cały czas tuli się, tuli, wtapia...

Aż nagle, jakby ją oparzył ukrop z pod prysznic, odpycha mnie od siebie, zrywa się z tapczanu, staje na nogach. Z podłogi zbiera moje ubranie, odrzuca je w moją stronę na tapczan i, prawie krzyczy całkowicie zmienionym, jakby nieswoim głosem:

- Ubierz się i już idź! Jedź już do domu! Idź! Już idź!

Rozbłyska światło żyrandola, Anka stoi przy tapczanie, nie patrzy na mnie, wzrok ma skierowany gdzieś w stronę zamkniętego okna, w stronę nocy, która już dawno tam za oknem otuliła ogród i, teraz, tym już nie swoim, suchym, hardym głosem dalej rozkazuje, krzyczy, wygania mnie, wygania niczym natręta:

– Wychodź! Idź już! Muszę się jakoś tu zacząć urządzać. I niech ci nie przyjdzie do głowy – byśmy mieli kiedykolwiek się spotykać! Nigdy! – Wychodź! Idź! Idź! Pośpiesz się. Podnosi ręcznik z podłogi i wymachuje nim jakby wyganiała z pokoju muchy.

Chcę, próbuję ją uspokoić, udobruchać, coś próbuję mówić, ale Anka podnosi dłoń w zabraniającym geście:

– Posłuchaj mnie, byłoby to niebezpieczne! Bardzo niebezpieczne, szczególnie dla ciebie, gdybyśmy mieli to ciągnąć dalej, spotykać się, wiedz... Zmieniłabym twoje życie w koszmar! W piekło! Rozwaliłabym ci rodzinę! – Nie wiesz jeszcze, na co mnie stać! Jaka byłabym zaborcza! Płyną, płyną słowa oschłe, obce – aż w końcu, Anka nagle łagodnieje, jakby się uspokaja, siada na skraju tapczanu ze spuszczoną głową i mówi znowu prawie szeptem:

Na pewno masz kochającą żonę, dzieci, a może i wnuki. Masz swoje poukładane życie - miej, nic o tym nie chcę wiedzieć - to twoja sprawa. – Mówiąc, wyciera ręcznikiem oczy i nos, a po chwili znowu podrywa się z tapczanu i znowu podnosi głos widząc, że guzdrzę się z ubieraniem.

– Ubieraj się! Ubierz się i wychodź! Idź! - Szybko!

Stoję w założonych już spodniach, zapinam pasek, zakładam marynarkę. Muszę, chcę jej powiedzieć, powiedzieć, że... - Że co? Przecież ona ma rację. Nie mówię nic, milczę, nie spoglądam nawet Ance w oczy. Ona już jest przy drzwiach łazienki, otwiera je i odwrócona plecami do mnie cicho dodaje:

– Sama nie wiem, dlaczego. Dlaczego teraz, tak nagle, tak bardzo, bardzo zaczęło mi na tobie zależeć... – Może, może dla tego..., że nie miałam nigdy ojca... – dodaje, zamykając z trzaskiem za sobą drzwi łazienki. Zostaję sam w pokoju, w głowie mam mentlik. Mam już na sobie marynarkę, spoglądam na zegarek – minęła północ. Nie wiem, co ze sobą począć. Ciągle stoję w tym samym miejscu. Anka wychodzi z łazienki. Ma na sobie zapiętą tylko na jeden guzik męską koszulę.

– Idź już – tym razem mówi łagodniej, ale ciągle nie patrzy mi w oczy.

– Nie pożegnamy się? Nie dasz mi swojego numeru telefonu?

– Nie.

– Nie mogę powiedzieć nawet do zobaczenia? – pytam nie umiając ukryć rozżalenia.

– Bye, bye – ledwie słyszę, bo Anka znowu odwróciła się do mnie tyłem.

– Bye, bye Anno–Lauro mówię, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy wychodziłem z domu - jeszcze wtedy, nim przyszedł do żony koleżanka, gdy wsiadłem do auta i później, wiozłem z przystanku dziewczynę całkowicie podobną do Laury Pergolizzi, prawie punktualnie o 18-tej zaczęły schodzić się do naszego domu najserdeczniejsze przyjaciółki żony. - Te, które razem kiedyś kończyły ogólniak, te, które co prawda, na studia chodziły na różne uczelnie, ale prawie w tym samym czasie kończyły je, wychodziły za mąż, zachodziły w ciążę, rodziły, razem spotykały się w pobliskich parkach i, wozły, bujały w wózkach te swoje najcudowniejsze, najukochańsze dzieciątka.

A, Staszka w domu niema? – wchodząc, pyta jedna przez drugą – zapewne tak, na wszelki wypadek.

– Nie! Wyrzuciłam go z domu! – śmiejąc się mówi z rozbawieniem Gracha. Mamy dziewczyny chatę tylko dla siebie! Maczając usta przez cały wieczór w ciągle tym samym kieliszku wina - bo każda, przyjechała własnym autem, „dziewczyny” zjadały się „wyjątkową” przystawką, zupką „cud”, no, a pieczeń cielęca... - palce lizać! A sernik własnego wypieku gospodyni - niebo w gębie! Rozmawiając, chichocząc, gadają, opowiadają o swoich zawodowych karierach, o emeryturze, o chorobach w rodzinie. O swoich dzieciach, które już tak wyrosły, że mają swoje dzieci. A, gdy doszły do opowieści o wnuczętach...

Każda wyszła z tego fantastycznego! spotkania z pełnym przeświadczeniem, że jej wnuczę jest najwspanialsze! najmądrzejsze! najpiękniejsze na świecie! Każdą z nich rozpierała radosna miłość...

Bałem się, że po powrocie, Gracha zapyta mnie jak minął mi wieczór, gdzie byłem, ale... Niewiele jak zwykle, już ją to obchodziło.

- Ech miłości, miłości! – Jakie ty masz oblicza!

Jeszcze parę razy byłem w Pruszczu, pod domem na ulicy Wodnistej 11. Wiedziałem, że to okno na drugim piętrze, to, za słupem energetycznym - jest oknem Anny-Laury. Na początku parę razy paliło się w nim światło, potem już zawsze było ciemno.

Lost On You.